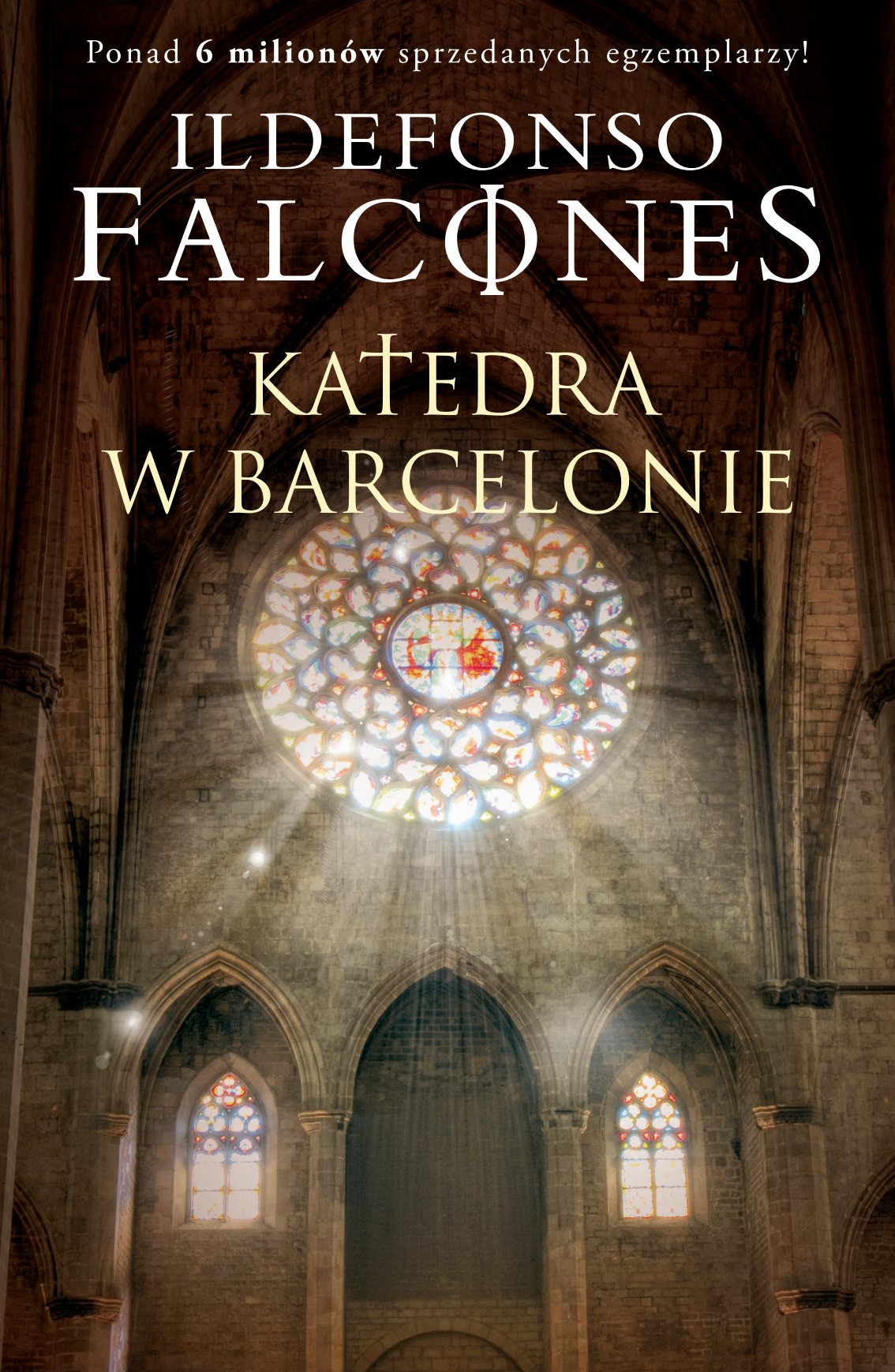


Ponad 6 milionów sprzedanych egzemplarzy!

ILDEFONSO FALCONES

KATEDRA W BARCELONIE



1

Gospodarstwo Bernata Estanyola Navarcles, Księstwo Katalonii, 1320 rok

Kiedy nikt nie zwracał na niego uwagi, Bernat spojrzął na bezchmurne błękitne niebo. Białe słońce ostatnich dni września pieściło twarze weselników. Włożył tyle wysiłku i czasu w zorganizowanie przyjęcia, że tylko niełaskawa pogoda mogłaby je popsuć. Bernat przesłał uśmiech jesiennemu niebu, a potem spuścił wzrok i uśmiechnął się jeszcze szerzej, słysząc rejewach na kamiennym dziedzińcu przed oborami zajmującymi parter domu.

Jego trzydziestu gościom dopisywał humor, bo tegoroczne winobranie było wyjątkowo udane. Mężczyźni, kobiety i dzieci pracowali od świtu do nocy, najpierw przy zbieraniu gron, potem przy ich udeptywaniu, nie pozwalając sobie na choćby jeden dzień odpoczynku.

Dopiero gdy wino znalazło się w beczkach, gotowe do fermentacji, a wyłoczyny odłożono, by w gnuśne zimowe dni destylować upędzoną z nich wódkę, dla katalońskich chłopów nadchodziła pora wrześniowych świąt. Bernat Estanyol wtedy właśnie postanowił wyprawić swe wesele.

Przyjrzał się gościom. Musieli wstać skoro świt, by przebyć

pieszo odległość, często niemałą, dzielącą ich gospodarstwa od majątku rodziny Estanyol. Teraz gawędzili z ożywieniem, może o weselu, może o zbiorach, może o jednym i drugim. Kilku z nich — grupka tworzona przez jego kuzynów oraz rodzinę Puig, krewnych jego szwagra — wybuchło śmiechem, posyłając mu filuterne spojrzenia. Bernat poczuł, że oblewa go rumieniec, ale nie zareagował na zaczepkę, wołał nie zastanawiać się nad przyczyną ich rozbawienia. W tłumie rozproszonym na dziedzińcu wypatrzył rodziny Fontanés, Vila i Joaniquet oraz, a jakże, rodzinę Esteve — krewnych panny młodej.

Zerknął kątem oka na swego teścia. Pere Esteve obnosił między weselnikami swe wielkie brzuszysko, rozsyłając uśmiechy i co chwila do kogoś zagadując. Gdy Pere zwrócił ku niemu swe rozradowane oblicze, Bernat, chcąc nie chcąc, musiał go pozdrowić, chyba po raz setny w tym dniu. Następnie poszukał wzrokiem i wyłowił z grupki gości swoich szwagrów. Od początku traktowali go dość nieufnie, mimo że Bernat wyłaził ze skóry, żeby ich sobie zjednać.

Znowu spojrział w niebo. Urodzaj i pogoda postanowiły towarzyszyć mu w tym ważnym dniu. Zerknął na dom, potem znowu na gości, i wykrzywił lekko wargi. Mimo rozgardiaszu poczuł się samotny. Jego ojciec umarł przed rokiem, a siostra Guiamona, która po wyjściu za mąż przeniosła się do Barcelony, nie odpowiadała na jego wiadomości, mimo że bardzo za nią tęsknił. A przecież z bliskich krewnych pozostała mu tylko ona...

Właśnie po śmierci ich ojca dom rodziny Estanyol znalazł się w centrum uwagi całej okolicy i poczęły ściągać do niego tłumnie swatki oraz ojcowie panien na wydaniu. Jeszcze do niedawna wieśniacy trzymali się z daleka od gospodarstwa „szalonego Estanyola” — jak nazywano ojca Bernata ze względu na jego buntowniczą naturę — ale śmierć starca tchnęła nadzieję w serca sąsiadów pragnących wydać córki za najbogatszego rolnika w okolicy.

— Najwyższy czas się żenić — mówiono Bernatowi. — Ile

masz lat?

— Dwadzieścia siedem. Chyba... — odpowiadał.

— W tym wieku mógłbyś mieć nawet wnuki — strofowali go. — Jak sobie poradzisz sam z takim gospodarstwem? Potrzebujesz żony.

Bernat cierpliwie słuchał rad, z góry wiedząc, że nie obejdzie się bez wzmianki o kandydatce, której cnoty przewyższać będą siłę wołu oraz urok najpiękniejszego zachodu słońca.

Zresztą nie było to dla niego nowością. Już szalony Estanyol, którego żona umarła, wydając na świat Guiamonę, próbował go wyswatać, ale wszyscy ojcowie panien na wydaniu opuszczali jego dom, miotając przekleństwa: nikt nie mógł sprostać żądaniom dotyczącym posagu. Zainteresowanie Bernatem zaczęło więc powoli słabnąć. Dziwactwa starca pogłębiały się z wiekiem, a jego buntownicze porywy zaczęły się przeradzać w napady delirium. Bernat poświęcił się bez reszty doglądaniu ojca oraz włości i raptem, mając dwadzieścia siedem lat, został zupełnie sam na świecie, na dodatek osaczony przez natrętów.

Jednak pierwszy odwiedził go, jeszcze zanim Bernat zdążył pogrzebać ojca, zarządca pana Navarcles i wszystkich okolicznych chłopów. Miałeś świętą rację, ojcze! — pomyślał Bernat na widok zarządcy i towarzyszących mu żołnierzy na koniach.

— Gdy tylko umrę — powtarzał starzec w przebłyskach świadomości — zjawia się tu, a wtedy pokażesz im testament. — Wskazywał kamień, pod którym leżała ostatnia wola szalonego Estanyola, owinięta w kawałek skóry.

— Ale dlaczego, ojcze? — spytał Bernat za pierwszym razem.

— Jak wiesz — odparł starzec — otrzymaliśmy nasze ziemie na prawie emfiteuzy, wieczystej dzierżawy, ale jestem wdowcem i gdybym nie sporządził testamentu, po mojej śmierci pan miałby prawo zająć połowę naszego ruchomego

majątku i żywego inwentarza. To przywilej zwany *intestia*, zresztą istnieje wiele innych, podobnych, musisz je wszystkie poznać. Przyjdą, Bernacie, zobaczysz, że przyjdą zabrać naszą własność. Ale ten testament pozwoli ci się od nich uwolnić.

— A jeśli postawią na swoim? — spytał Bernat. — Przecież ich znasz...

— Mogą próbować, ale wszystko zapisane jest w księgach.

Gniew zarządcy i pana feudalnego poniósł się po okolicy i sprawił, że sierota, jedyny spadkobierca wszystkich włości starego szaleńca, stał się jeszcze ponętniejszą partią.

Bernat dobrze pamiętał wizytę swego teścia, który zjawił się u niego tuż przed winobraniami. Pięć soldów, siennik i biała lniana kamizela — tak wyglądało wiano jego córki Franceski.

— Na co mi kamizela? — spytał Bernat i dalej przerzucał słomę na parterze domu.

— Sam się przekonaj — odparł Pere Esteve.

Bernat wsparł się na widłach i spojrzał w kierunku wskazanym przez sąsiada. Widły wysunęły mu się z ręki i upadły na słomę. Na progu obory zobaczył Francescę w długiej białej koszuli... Dziewczyna stała pod światło i Bernat miał jak na dłoni całe jej ciało!

Ciarki przeszły mu po plecach. Pere Esteve się uśmiechnął.

Bernat przyjął jego propozycję, i to natychmiast, jeszcze tam, w stodole, nie podchodząc nawet do wybranki, ale i nie odrywając od niej oczu.

Wiedział, że podjął decyzję pochopnie, niczego jednak nie żałował, bo oto stoi teraz przed nim Francesca: młoda, piękna, silna... Zaczął szybciej oddychać. To już dziś... Ale co ona myśli? Czy czuje to samo? Dziewczyna nie brała udziału w wesołej pogawędce kobiet, stała w milczeniu obok matki, nie uczestnicząc w ogólnej wesołości, kwitując tylko żarty i chichoty towarzyszek wymuszonym uśmiechem. Ich spojrzenia skrzyżowały się na ułamek sekundy. Francesca zarumieniła się i spuściła wzrok, Bernat zdążył jednak dostrzec falowanie jej piersi, zdradzające zdenerwowanie. Biała lniana

koszula i tym razem okazała się sprzymierzeńcem jego wyobraźni i pragnień.

— Winszuję — usłyszał za sobą, a potem z całej siły poklepano go po plecach i stanął koło niego Pere Esteve. — Bądź dla niej dobry. — Podążył za wzrokiem Bernata i skinął na dziewczę, które w owej chwili najchętniej schowałoby się do mysiej dziury. — Zresztą wystarczy, że będziesz o nią dbał jak o weselnych gości... W życiu nie widziałem przedniejszej uczyty. Słowo daję, nawet pan Navarcles nie raczy się takimi przysmakami. To pewne!

Bernat postanowił podjąć swych gości wystawnie, dlatego przygotował czterdzieści siedem bochnów białego chleba z pszennej mąki, rezygnując tym razem z jęczmienia, żyta i orkiszu — zbóż pojawiających się najczęściej na stołach katalońskich chłopów. Czterdzieści siedem bochnów z czystej pszennej mąki, białej jak koszula panny młodej! Udał się do zamku w Navarcles, aby upiec chleb z pańskim piecu, przekonany, że jak zwykle zapłaci za usługę dwa bochenki. Na widok pszennego chleba oczy piekarza przemieniły się w spodki, a zaraz potem zwężyły w nieprzeniknione szparki. Tym razem Bernat musiał zostawić na zamku aż siedem bochenków. Wracał do domu, przeklinając prawo, zakazujące chłopom budować we własnych gospodarstwach pieców chlebowych... A także kuźni i rymarni...

— Na pewno — zgodził się z teściem, odpędzając przykre myśli.

Omiotli wzrokiem folwarczny dziedziniec. Może i skradziono Bernatowi chleb, ale nie ruszono wina, którym raczyli się teraz weselnicy — tego najlepszego, rozlewanego jeszcze przez jego ojca i leżakującego przez długie lata — ani solonej wieprzowiny czy potrawki z dwóch kur w bukiecie z jarzyn, ani też, ma się rozumieć, czterech jagniąt, które, przywiązane do kija, obracały się wolno nad żarem, skwiercząc i roztaczając smakowitą woń.

W końcu potrawka była już gotowa, więc kobiety zaczęły napełniać miski przyniesione przez gości. Pere i Bernat zajęli

miejsca przy jedynym wyniesionym na dziedziniec stole, a kobiety ruszyły im posługiwać. Nikt nie usiadł na pozostałych czterech zydlach.

Rozpoczęła się uczta: niektórzy weselnicy jedli na stojąco, inni siedzieli na pniakach lub na ziemi, zerkając w stronę jagniąt piekących się pod czujnym okiem kilku kobiet. Wszyscy popijali wino, gawędzili, pokrzykiwali i raz po raz wybuchali śmiechem.

— Weselisko jak się patrzy, bez dwóch zdań — orzekł Pere Esteve, wiosłując łyżką.

Ktoś wznosił toast za nowożeńców, wszyscy mu zawtórowali.

— Francesco! — krzyknął ojciec panny młodej, stojącej wśród kobiet pilnujących jagniąt, i uniósł kubek w jej stronę.

Bernat spojrział na dziewczynę, a ta znowu skryła twarz.

— Jest zdenerwowana — usprawiedliwił ją Pere, puszczając do niego oko. — Francesco, córuś! — krzyknął znowu. — Wznies z nami toast! Korzystaj z okazji, bo niebawem zostaniesz sama... no, prawie sama.

Salwy śmiechu jeszcze bardziej speszyły Francescę. Uniosła wetknięty jej w rękę kubek i nie przytykając go do ust, odwróciła się plecami do chichoczących weselników. Ponownie skupiła całą uwagę na jagniętach.

Pere Esteve stuknął się kubkiem z Bernatem, rozbryzgując wino. Goście poszli w ich ślady.

— Oduczysz ją nieśmiałości — rzekł głośno Esteve do zięcia, tak by wszyscy go słyszeli.

Znów rozległy się salwy śmiechu, tym razem towarzyszyły im niewybredne uwagi, które Bernat wolał puścić mimo uszu.

Wśród ogólnej wesołości raczono się do syta winem, wieprzowiną i drobiową potrawką. Kobiety zaczynały właśnie ściągać jagnięta z roznów, gdy nagle kilku gości zamilkło i skierowało wzrok ku granicy gruntów Bernata, na linię lasu za rozległymi polami uprawnymi i niewielkim pagórkiem obsadzonym przez rodzinę Estanyol winoroślą, z której pochodził wyśmienity trunek pity przez weselników.

Kilka sekund później na podwórzu zapanowała cisza.

Z lasu wyłonili się trzej jeźdźcy. Za nimi podążało wielu umundurowanych piechurów.

— Czego tu szuka? — zapytał cicho Pere Esteve.

Bernat nie spuszczał wzroku ze zbliżającego się orszaku, który okrążał właśnie pola. Goście szeptali między sobą.

— Nie rozumiem — rzucił w końcu Bernat również szeptem.

— Nigdy tędy nie przejeżdża. To nie jest droga na zamek.

— Nie podoba mi się ta wizyta — mruknął Pere Esteve.

Orszak posuwał się powoli. Śmiechy i uwagi jeźdźców zaczęły już docierać na podwórzec i zastąpiły gwar, panujący do niedawna wśród weselników. Bernat spojrzał na gości: niektórzy nie patrzyli już przed siebie, ale w ziemię. Odszukał wzrokiem Francescę stojącą wśród kobiet. Dobiegł ich tubalny głos pana z Navarcles. Bernat poczuł wzbierający gniew.

— Bernat! Bernat! — zawołał Pere Esteve, szarpiąc zięcia za ramię. — Zamurowało cię? Biegnij go przywitać!

Bernat skoczył na równe nogi i popędził do swego pana.

— Bądźcie pozdrowieni, panie. Gość w dom, Bóg w dom — powitał go, zasapany.

Llorenç de Bellera, pan Navarcles, ściągnął wodze i zatrzymał konia przed Bernatem.

— To ty jesteś Estanyol, syn tego wariata? — zapytał oschle.

— Tak, panie.

— Byliśmy właśnie na polowaniu i wracając na zamek, usłyszeliśmy odgłosy zabawy. Co świętujecie?

Bernat wypatrzył między końmi wojów z łupami: królikami, zającami i bażantami. „To raczej wasza wizyta wymaga wytłumaczenia — miał ochotę powiedzieć. — Czyżby zamkowy piekarz napomknął wam o pszennych bochnach?”.

Nawet konie, które stały nieruchomo, świdrując Bernata wielkimi okrągłymi ślepiami, zdawały się czekać na odpowiedź.

— Moje wesele, panie.

— A kogóż to poślubiłeś?

— Córkę Perego Esteve’a, panie.

Llorenç de Bellera zamilkł, patrząc na Bernata ponad głową swego rumaka. Konie głośno ryły ziemię kopytami.

— I? — warknął pan Navarcles.

— Moja żona i ja — rzekł Bernat, próbując ukryć niezadowolenie — będziemy zaszczytzeni, jeśli wasza wielmożność i jego towarzysze zechcą się do nas przyłączyć.

— Pić nam się chce, Estanyol — rzucił Llorenç w odpowiedzi.

Konie ruszyły, jeszcze zanim jeźdźcy spięli je ostrogami. Bernat spuścił głowę i poprowadził swego pana w stronę domu. Przed podworcem czekali już na nich wszyscy weselnicy: kobiety ze wzrokiem wbitym w ziemię, mężczyźni z odkrytymi głowami. Niewyraźny szmer poniosł się po zgromadzonych, gdy Llorenç de Bellera stanął przed nimi.

— No dalej, dalej — ponaglał, zsiadając z konia — wracajcie do zabawy.

Chłopi posłuchali i w milczeniu wrócili na swoje miejsca. Kilku żołnierzy przyskoczyło, by zająć się końmi. Bernat poprowadził niezapowiedzianych gości do stołu, przy którym siedział wcześniej z teściem. Zniknęły ich misy i kubki.

Pan de Bellera i jego dwaj towarzysze usiedli. Bernat cofnął się kilka kroków, a trzech stołownicy rozpoczęli pogawędkę. Kobiety pospieszyły ku nim z dzbanami wina, szklanicami, bochnami chleba, misami z potrawką drobiową, półmiskami solonej wieprzowiny i świeżo upieczonym jagnięciem. Bernat na próżno szukał wzrokiem Franceski, nie było jej między kobietami. Napotkał spojrzenie teścia, stojącego pośród gości, który wskazał podbródkiem niewiasty, po czym prawie niedostrzegalnie pokręcił głową i się odwrócił.

— Nie przerywajcie weseliska! — wrzasnął Llorenç, ściskając w garści udziec jagnięcy. — No dalej, bawcie się!

Chłopi ruszyli w milczeniu ku dogasającym ogniskom, na których dopiero co piekło się mięsiwo. Tylko mała grupka gości — Pere Esteve, jego synowie oraz kilku innych weselników, stojących poza zasięgiem wzroku pana z Navarcles

i jego kamratów — nie ruszyła się z miejsca. Bernatowi mignęła między nimi biała lniana koszula, więc skierował się w ich stronę.

— Odejdź, głupcze — warknął teść.

Zanim zdążył odpowiedzieć, matka Franceski włożyła mu do rąk półmisek jagnięciny i szepnęła:

— Usługuj panu i nie podchodź do mojej córki.

Chłopi zaczęli kosztować w milczeniu pieczystego, zerkając ukradkiem na możnych. Na podwórzu rozbrzmiewał tylko rechot i pokrzykiwania pana z Navarcles oraz jego dwóch towarzyszy. Żołnierze odpoczywali na uboczu.

— Przed chwilą zaśmiewaliście się tak — zagrzmiął Llorenç — że płoszyliście nam zwierzynę. A teraz co? Mowę wam odjęło? Śmiejecie się, u licha!

Nikt go nie posłuchał.

— Durni wieśniacy — mruknął do swych towarzyszy, którzy skwitowali jego słowa rechotem.

Wszyscy trzej najedli się do syta jagnięciny i pszennego chleba. Solona wieprzowina i misy z potrawką pozostały nietknięte. Bernat jadł na stojąco, nieco za nimi, kątem oka obserwując grupkę kobiet, wśród których skrywała się Francesca.

— Wina! — zażądał pan Navarcles, podnosząc kubek. — Estanyol! — krzyknął znienacka, szukając wzrokiem pana młodego. — Od tej pory masz mi płacić dzierżawę takim winem, a nie tymi sikami, którymi oszukiwał mnie twój ojciec. — Bernat wciąż stał za jego plecami. Matka Franceski spieszyła już z dzbanem. — Estanyol, gdzieżeś się podział?

Llorenç de Bellera uderzył w stół akurat w chwili, gdy chłopka przechylała dzban, by napęlić jego szklanice. Kilka kropel wina prysnęło na szaty możnego.

Bernat stał już przy nim. Pozostałych dwóch stołowników wypadek z winem wyraźnie rozbawił. Pere Esteve skrył twarz w dłoniach.

— Głupia starucho! Jak śmiesz wylewać na mnie wino?

— Kobięcina pochyliła głowę w poddańczym geście, a gdy pan zamachnął się, by ją spoliczkować, odsunęła się i upadła. Llorenç de Bellera odwrócił się do swych kompanów i wybuchnął śmiechem na widok uciekającej na czworakach babiny. Po chwili spoważniał i zwrócił się do Bernata: — No, nareszcie raczyłeś się pojawić, Estanyol! Popatrz tylko, co wyprawiają te niezdarne staruchy! Czyżbyś próbował obrazić swego pana? Czy jesteś na tyle głupi, by nie wiedzieć, że gościom usługiwać powinna pani domu? Gdzie panna młoda? — zapytał, wzdając wzrokiem po dziedzińcu. — Gdzie jest panna młoda?! — wrzasnął, nie doczekawszy się odpowiedzi.

Pere Esteve złapał Francescę za rękę i poprowadził do Bernata. Dziewczyna drżała.

— Wasza wielmożność — powiedział Bernat — przedstawiam wam moją żonę Francescę.

— To co innego — stwierdził Llorenç, bezczelnie oglądając dziewczynę od stóp do głów. — Zupełnie co innego. Teraz ty będziesz nam polewała wino.

Usiadł i podsunął kubek pannie młodej. Francesca wzięła dzban drżącą ręką, by spełnić jego rozkaz. Llorenç de Bellera złapał ją za nadgarstek i nie puścił, dopóki kubek nie był pełen. Potem szarpnął ją za ramię, zmuszając do obsłużenia swych towarzyszy. Piersi dziewczyny musnęły jego twarz.

— Tak się polewa wino! — zarechotał, podczas gdy stojący obok Bernat zacisnął zęby i pięści.

Llorenç de Bellera i jego druhowie raczyli się winem, co rusz przywołując Francescę. Za każdym razem powtarzała się ta sama scena.

Żołnierze wtórowali im śmiechem, gdy tylko dziewczyna nachylała się nad stołem. Próbowwała powstrzymać łzy. Bernat coraz głębiej wbijał paznokcie w dłonie, raniąc je do krwi. Weselnicy odwracali bez słowa wzrok za każdym razem, gdy dziewczyna nalewała wino.

— Estanyol! — krzyknął Llorenç de Bellera i wstał od stołu, nie puszczać nadgarstka Franceski. — Zgodnie

z przysługującym mi prawem pierwszej nocy, zabawię się teraz z twoją żoną.

Współbiesiadnicy pana Navarcles nagrodzili jego pomysł brawami. Bernat rzucił się ku niemu, ale pozostali dwaj moiżni, pijani, zagrodzili mu drogę, sięgając po broń. Bernat zatrzymał się w pół kroku. Llorenç de Bellera popatrzył na niego, uśmiechnął się, a potem głośno zarechotał. Francesca wbiła w męża błagalny wzrok.

Bernat zrobił krok do przodu, ale poczuł na brzuchu czubek miecza. Francesca, wleczona w stronę schodów prowadzących na piętro, nie przestawała na niego spoglądać. Gdy moiżny objął ją w pasie i przerzucił sobie przez ramię, zaczęła krzyczeć.

Kamraci pana Navarcles ponownie usiedli za stołem, by nadal zaśmiewać się i raczyć winem. Strażnicy pilnowali schodów, zagradzając drogę Bernatowi.

Bernat, stojąc pod domem, twarzą do żołnierzy, nie słyszał śmiechu moiżnych ani szlochu kobiet. Nie przyłączył się do milczenia weselników, nie zwracał też uwagi na drwiny rycerzy swego pana, którzy zerkali na dom, pozwalając sobie na niewybredne uwagi i gesty. Słyszał tylko rozpaczliwe krzyki dobiegające z okna na pierwszym piętrze.

Niebo ciągle promieniało błękitem.

Po chwili, która Bernatowi wydała się wiecznością, spocony Llorenç de Bellera stanął na schodach, wiążąc myśliwski kasak.

— Estanyol! — wrzasnął, mijając Bernata i kierując się do stołu. — Teraz twoja kolej. Doña Caterina — poinformował kompanów, mając na myśli swą młodą, świeżo poślubioną małżonkę — nie chce słyszeć o kolejnych bękartach, a i ja mam szczerze dość jej szlochów. No, dalej, pokaż, na co cię stać! — zwrócił się rozkazująco do pana młodego.

Bernat z rezygnacją spuścił głowę i zaczął wchodzić po bocznych schodach, odprowadzany wzrokiem przez wszystkich zebranych na dziedzińcu. Wszedł na pierwsze piętro, do obszernej izby służącej za kuchnię i jadalnię. Do jednej ze ścian przylegało wielkie palenisko nakryte potężną konstrukcją

z kutego żelaza, pełniącą rolę kominka. Bernat, wsłuchany we własne kroki rozbrzmiewające na podłodze z desek, ruszył ku drabinie prowadzącej na drugie piętro, gdzie znajdowała się sypialnia i spichlerz. Wysunął głowę przez otwór w deskach i rozejrzał się po izbie, bojąc się iść dalej. Panowała całkowita cisza.

Z podbródkiem na wysokości podłogi, wciąż stojąc na drabinie, Bernat zobaczył ubranie Franceski rozrzucone po izbie. Biała lniana koszula — duma całej rodziny — była podarta niczym pierwszy lepszy łachman. W końcu zdecydował się wejść.

Leżała skulona na nowym sienniku poplamionym krwią. Naga, patrzyła przed siebie nieobecny wzrokiem. Była spocona, podrapana i poobijana, nie ruszała się.

— Estanyol! — z podwórza dobiegły pokrzykiwania Llorença de Bellera. — Twój pan się niecierpliwi.

Bernata chwyciły torsje i zaczął wymiotować na zmagazynowane w izbie zboże. O mało nie wypłuł wnętrzności. Francesca ani drgnęła. Wybiegł z izby. Po chwili wypadł błdy na podwórze, w jego głowie kłębiły się najokropniejsze myśli i uczucia. Zaślepiiony, omal nie zderzył się u stóp schodów ze zwałistą postacią Llorença de Bellera.

— Coś mi się nie wydaje, żeby pan młody skonsumował małżeństwo — rzekł pan Navarcles do swych towarzyszy.

Bernat musiał zadrzeć głowę, by spojrzeć mu w twarz.

— Nie... nie mogłem, wasza wielmożność — wyjąkał.

Llorenç de Bellera nie odzywał się przez chwilę.

— Jeśli ty nie możesz, na pewno któryś z moich przyjaciół... lub wojaków chętnie cię zastąpi. Już mówiłem, że nie życzę sobie kolejnych bękartów.

— Nie macie prawa...!

Chłopi zadrżeli na myśl o skutkach takiego zuchwalstwa. Pan z Navarcles jedną ręką złapał Bernata za szyję i zaczął go dusić. Młodzieniec otwierał rozpaczliwie usta, próbując łapać powietrze.

— Jak śmiesz? A może chcesz wykorzystać moje prawo pierwszej nocy z żoną sługi, by przybiec potem na zamek z bękartem, domagając się nie wiadomo czego? — Zanim Llorenç postawił Bernata na ziemi, potrząsnął nim jeszcze. — O to ci chodzi? To ja stanowią tu prawa, tylko ja. Zrozumiano? Chyba zapomniałeś, że mogę cię ukarać, kiedy i jak tylko zechcę?

Z całej siły uderzył Bernata, powalając go na ziemię.

— Gdzie mój bat?! — wrzasnął rozwścieczony.

Bat! Bernat był jeszcze dzieckiem, gdy wiele razy zmuszono jego, jego rodziców oraz wielu innych chłopów do oglądania publicznej chłosty wymierzonej przez pana Navarcles jakiemuś nieszczęśnikowi, którego winy nikt nigdy do końca nie poznał. Trzask rzemienia o plecy wieśniaka zadźwięczał teraz na nowo w uszach Bernata, zupełnie jak owego dnia i jak przez wiele, wiele nocy jego dzieciństwa. Nikt z obecnych nie śmiał wtedy drgnąć, podobnie jak teraz. Bernat zaczął się czołgać, spoglądając z dołu na swego pana, który stał nad nim niczym skała i czekał z wyciągniętą ręką, aż ktoś poda mu bat. Przypomniawszy sobie rozorane rzemieniem plecy tamtego nieszczęśnika — krwawą masę, na której nawet bezbrzeżna nienawiść pana nie mogła już natrafić na skrawek zdrowej skóry. Powłókł się na czworakach ku schodom z oczami pełnymi łez, drżąc jak w dzieciństwie, gdy dręczyły go koszmary. Nikt się nie poruszył. Nikt się nie odezwał. A słońce nadal świeciło promiennie.

— Przykro mi, Francesco — wyjąkał, gdy wdrapał się z trudem po drabinie, odprowadzany przez jednego z żołnierzy, i znowu stanął w sypialni.

Opuścił spodnie i ukląkł przy żonie. Ani drgnęła. Spojrzał na swój zwiotczały członek, zastanawiając się, jak zdoła wykonać rozkaz pana. Delikatnie musnął palcem nagi bok Franceski.

Dziewczyna nie zareagowała.

— Muszę... musimy to zrobić — szepnął, biorąc żonę za przegub ręki i próbując odwrócić do siebie.

— Nie dotykaj mnie! — krzyknęła, nagle oprzytomniawszy.
— Obedrze mnie ze skóry! — Bernat siłą odwrócił żonę, odkrywając jej nagie ciało.
— Puść!

Mocowali się przez chwilę, ale w końcu Bernat chwycił Francescę za oba nadgarstki i przyciągnął do siebie. Mimo to nadal się broniła.

— Przyjdzie inny! — szepnął jej do ucha — przyjdzie inny i cię... zniewoli! — Oczy dziewczyny wbiły się w męża z wyrzutem. — On mnie obedrze ze skóry, obedrze ze skóry... — usprawiedliwiał się.

Francesca nadal się opierała, ale Bernat rzucił się na nią gwałtownie. Nawet jej łzy nie zdołały ostudzić pożądania, które opanowało go, gdy dotknął jej nagiego ciała. Wszedł w nią, a ona krzyczała wniebogłosy.

Skowyt Franceski zaspokoił ciekawość rycerza, który bez cienia zakłopotania przyglądał się całej scenie z drabiny.

Nim Bernat skończył, opór Franceski niespodziewanie osłabł. Jej krzyk przemienił się w szloch. Właśnie płacz żony towarzyszył Bernatowi w chwili szczytowania.

Pan Navarcles słyszał rozpaczliwe wycie dobiegające z okna na drugim piętrze. Gdy tylko jego szpieg potwierdził, że małżeństwo zostało skonsumowane, kazał przyprowadzić konie i oddalił się wraz ze swą ponurą kompanią. Większość przygnębionych weselników poszła jego śladem.

W izbie panowała cisza. Bernat leżał na żonie, nie wiedząc, co robić. Dopiero teraz uświadomił sobie, że przytrzymuje ją z całej siły za ramiona. Zwolnił uścisk, chcąc oprzeć dłonie o siennik przy jej głowie, ale stracił równowagę i opadł na nią bezwładnie. Gdy się podniósł odruchowo, podpierając ramionami, napotkał błędny wzrok żony. W takiej pozycji przy każdym ruchu musiał się otrzeć o jej ciało. Za wszelką cenę chciał tego uniknąć, by nie sprawiać jej jeszcze więcej bólu. Żałował, że nie potrafi lewitować i nie może odsunąć się, nie dotykając jej ponownie.

Wreszcie, po długim wahaniu, zsunął się z Franceski i ukląkł obok. Wciąż nie wiedział, co robić — wstać, położyć się przy niej, wyjść, próbować się usprawiedliwić? Uciekł wzrokiem od prowokująco wyciągniętego ciała Franceski. Nie mógł dojrzeć jej twarzy, znajdującej się o dwie piędy od jego głowy. Spuścił oczy, spojrzał na swój nagi członek i nagle ogarnął go wstyd.

— Przeprasz...

Nieoczekiwany ruch Franceski zaskoczył go. Dziewczyna zwróciła ku niemu twarz. Bernat szukał na tej twarzy zrozumienia, ale znalazł tylko bezbrzeżną pustkę.

— Przepraszam — powtórzył. Francesca nadal patrzyła na niego bez wyrazu. — Przepraszam, przepraszam. Obdarłby mnie, obdarłby mnie ze skóry... — wybąkał.

Przywołał w myślach postać pana Navarcles, który stał nad nim z ręką wyciągniętą po bat. Jeszcze raz przejrzał się w spojrzeniu Franceski — zobaczył w nim pustkę. Złął się, popatrzywszy jej w oczy w poszukiwaniu odpowiedzi: krzyczały bezgłośnie, krzyczały tak jak ona przed chwilą.

Bernat chciał ją pocieszyć, gładząc dłonią po policzku, jakby była małą dziewczynką.

— Ja... — zaczął.

Nie dokończył zdania. Na widok jego wyciągniętej ręki rysy Franceski stężały. Cofnął dłoń, zakrył nią twarz i załkał.

Dziewczyna leżała bez ruchu z nieobecnym spojrzeniem.

Gdy Bernat przestał płakać, wstał, wciągnął spodnie i zniknął w otworze prowadzącym na niższe piętro. Kiedy jego kroki ucichły, Francesca zwlekła się z łóżka, podeszła do skrzyni stanowiącej jedyny mebel w izbie i wyjęła ubranie. Odziewszy się, pozbierała pieczułowiec z podłogi swój weselny strój, między innymi tak drogą jej sercu białą lnianą koszulę. Złożyła ją starannie, próbując dopasować strzępy, i schowała do skrzyni.